

## **Opowieść o Istnieniu. Zamiast pamiętnika (fragmenty)**

Henryk Józewski (1892–1981) nie jest tak bezstronnym świadkiem, jak Jerzy Stempowski. Był w latach 1928–1938 wojewodą wołyńskim, dobrze rozumiał aspiracje ukraińskie, brzydził go polski szowinizm, ale występował w roli urzędnika państwowego Rzeczypospolitej. Ten punkt widzenia przeważa nawet w jego późnych wspomnieniach pisanych po wyjściu z więzienia, a więc pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych.

Sytuacja edytorska dzieła Józewskiego jest bardzo skomplikowana. Fragmenty, już po śmierci autora, ukazały się w „Zeszytach Historycznych” (z. 59, 60 /1982 i z. 63/1983). Znacznie bardziej obszerna wersja przechowywana jest w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Swego czasu planowałem wydanie wspomnień Józewskiego. Wówczas Beata Wróblewska, w porozumieniu ze spadkobiercami autora przygotowała tekst, ani tak zwarty jak wydrukowany przez Jerzego Giedroycia, ani tak olbrzymi, pełen dygresji filozoficznych, jak zdeponowany w bibliotece. Z tej wersji wybieram kilka stron uwag i migawek wołyńskich.

„W ciągu dziesięciu lat mojego urzędowania miałem możliwość i obowiązek przeczytania jednego memoriału o Wołyniu oceniającego sytuację wraz z zaleceniami, co należy robić, żeby było dobrze. Autorami elaboratów byli niekiedy ludzie reprezentujący najwyższe czynniki państwowe, polityczne – znane osobistości. Miałem do czynienia ze skądinąd imponującą pracą mózgową i chwytami logiki nie znoszącymi sprzeciwu, chociaż w tym ostatnim wypadku bywało różnie. (...) Nie chcę być w roli orzekającej nieomylnie instancji. Jedno jest pewne, o czym nie mogę nie wspomnieć: myślom zawartym na setkach stron brakowało »muzykalności«. Nie zdawano sobie sprawy z dysonansów włączonych w teksty opracowywane przez ogólnie uznane instytucje (...).

Już w okresie prac przygotowawczych po ukazaniu się orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej o zwołaniu soboru prawosławnego coś się zmieniło w sposobie myślenia ludności prawosławnej. Zaczęto się domyślać, że prawosławie nie jest »bezdolnym podrzutkiem« którym opiekuje się spoza granic Rzeczypospolitej Moskwa, nie jest wrogo do Polski usposobionym intruzem i odziedziczonym w spadku po historii ciałem obcym, które nie może budzić dobrych uczuć Polaków i katolików. Zaczęto sobie zdawać sprawę, że prawosławie nie może być prześladowane przez katolicką Polskę, że nie jest wrogiem Polski.

Dotychczasowy stan rzeczy zaczął ulegać zasadniczej zmianie. Została usunięta jeszcze jedna przeszkoda polsko-ukraińskiego braterstwa, nie tylko na Wołyniu. Należy zdawać sobie sprawę, że pomimo polsko-ukraińskiego pokrewieństwa i obyczajowości polsko-ukraińskiej na ziemiach

naddnieprzańskich Polska akcentowała swoje katolickie stanowisko wobec prawosławnego świata. I to pomniejszało możliwości korzystnego układu dla Polski i Ukrainy.

Tak działo się przez długi czas i świadomość tego wrastała w życie. Moskwa robiła, co mogła, żeby grozę katolickiej Polski powiększać. W rozgrywce polsko-ukraińskiej na obszarach bałtycko-czarnomorskich był to w ręku Moskwy nie lada atut. Otóż skończyło się to z chwilą ogłoszenia autokefalii Polskiego Kościoła Prawosławnego. Od tej chwili Polska współdziała z prawosławiem i odbiera Moskwie prawo reprezentowania prawosławia w życiu polskim. (...)

Jak już wspominałem, ludność prawosławna zaczęła zdawać sobie sprawę ze zmiany sytuacji i perspektyw na przyszłość. Mniej zrozumiałe i oczywiste było to dla strony polskiej, dla polskiego katolickiego świata i świata katolickiego w ogóle.

Świat katolicki założył sprzeciw. To, że Polska wzięła udział w dźwiganiu się prawosławia ku lepszej przyszłości, dyskredytowało Polskę w oczach prawowiernych katolików. Prawosławie, zgodnie z tym sposobem myślenia, można tylko nawracać na wiarę katolicką i poddawać pod katolicką jurysdykcję. Właśnie Unia i »obrządek wschodni« były tego wyrazem. Takie było stanowisko Rzymu i katolickiej hierarchii. (...) Niejeden »praworządny« Polak-katolik patrzył na mnie niechętnym, a w wielu razach wrogim okiem, miał mnie za zdrajcę Kościoła i Polski. Fabrykowano o mnie i mojej rodzinie przeróżne pogłoski. Krążyły one wszędzie, nawet w sferach rządowych. Odnaczyli się między innymi panowie oficerowie, którzy poczuli wolę bożą do działalności politycznej o typie endecko-oenerowskim. Mówiono na przykład, że w moim domu rozmawia się po rosyjsku. Moje córki (których nie miałem) mówiły rzekomo tylko po rosyjsku. Moja żona jest córką popa. (...)

Do oskarżenia o zdradę Polski na rzecz Ukraińców doszło jeszcze prawosławie. Nie było jednak tak źle. Wołyń – wołyńskie życie było ze mną. Za mną był Piłsudski. Paraliżowało to skutecznie endeckie porywy poszczególnych oficerów. Zresztą nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że za mną jest Polska taka, jak ją Pan Bóg stworzył. W czasach roznamiętnienia politycznego polskich umysłów świeckich i kościelnych zjawiał się w moim urzędowym gabinecie młody ksiądz. Miałem wrażenie, że mówił głosem przyciszonym. Powiedział: »panie wojewodo, przychodzę do pana w imieniu moich kolegów księży, żeby pan wiedział, że młodzi księża się modlą za pana. Pan uczy nas miłości bliźniego«. Ksiądz prosił o tajemnicę, żebym nie zdradził go przed biskupem Szelążkiem<sup>1</sup>. (...) Jak dalece polska polityka wobec prawosławia działa na nerwy watykańskich dostojników, przekonałem się na przykładzie Metropolity Szeptyckiego<sup>2</sup>. W 1930 roku nawiązałem z Metropolitą bliskie i serdeczne stosunki. Metropolita ofiarował mi swoją przyjaźń. Kiedy jednak moja rola i udział w polskiej polityce prawosławnej stały się ogólnie znane, Metropolita zerwał ze mną stosunki. W pewnej chwili miał się wyrazić, że nie zdziwiłoby go, gdybym padł z ręki UWÓ (*Ukraińska Wjijskowa Orhanizacija*)<sup>3</sup> – tzn. ukraińskich galicyjskich terrorystów. (...) Przeszkodą były hierarchie i duchowieństwo prawosławne w tytule swej rosyjskości. Składały się one z rodowitych Rosjan, często o poglądach reakcyjnych i *istinno russkich*. W parafiach proboszczowie,  *nolens volens*, musieli się z parafianami dogadywać, układać stosunki. Była to ludność prawosławna – ukraińska,

<sup>1</sup> Adolf Szelążek (1865–1950), rzymskokatolicki biskup łucki (1926–1950), w 1946 deportowany do Polski.

<sup>2</sup> Andrij Szeptycki (1865–1944), greckokatolicki metropolita lwowski i halicki.

<sup>3</sup> Konspiracyjna organizacja terrorystyczna, zawiązana w 1920 roku w Pradze, działająca na terytorium dawnej Galicji.

coraz bardziej narodowo uświadomiona i niechętna Rosji. W większości wypadków proboszczowie dawali sobie radę i w teren ukraiński wrastali.

Hierarchia z Metropolita *wsieja* Polszy Dionizym<sup>4</sup> na czele była zespołem typowo rosyjskim o tradycjach prawosławnych carskiej Rosji. Z zespołem tym, tzn. św. Synodem, miałem do czynienia przez osiem lat systematycznych posiedzeń Synodu z delegacją rządową polską. *Russkij duch* św. Synodu nie był dobrym partnerem w rozważaniach sprawy polskiego prawosławia.

Najbardziej rosyjsko-carski był Metropolita Dionizy. Pewnego razu Metropolita wyjechał do Berlina, by szukać pomocy i natchnienia i biskupa Hermogena<sup>5</sup> i kół carskiej-rosyjskiej emigracji. Miałem z tym nie lada kłopot. Metropolita po powrocie z Berlina zajął postawę nieprzejednaną i zerwał rozmowy. Wyrazem bojowości Metropolity miała być wielka manifestacja prawosławia w Poczajowie w dzień św. Jowa. W dniu tym zbierały się w Poczajowie tysiące pątników. Może cień Hermogena i niedawne poczajowskie tradycje z czasów carskich natchnęły Dionizego do manifestacji *istinnno russkich*. Gdy doszły do mnie te wieści, wezwałem posła Stefana Skrypnika<sup>6</sup> i omówiliśmy plan działania. Chodziło o zorganizowanie w murach Poczajowa manifestacji ukraińskiej. Przyznaję, że plan był dość ryzykowny. Tysięczne tłumy w czasie takich manewrów, ściśnięte w murach klasztoru – to mogło spowodować tragiczne skutki i ofiary w ludziach.

Przyszedłem do przekonania, że będzie najlepiej, jeżeli w dniu św. Jowa wojewoda będzie nieobecny w Łucku, a miejsce jego pobytu nieznanne. Tak się stało. Wczesnym rankiem wyjechałem na polowanie na cietrzewie. Wieczorem wróciłem do Łucka. Oczekiwałem na hojbowe wieści, raporty policji, straty, protesty i skargi Metropolity, wiadomości o zabitych i rannych. Mogłem się wszystkiego spodziewać. Z niepokojem zbliżałem się do biurka i do pliku leżących papierów. Natknąłem się na telefonogram posła Skrypnika – dowódcy akcji. Przeczytałem, że ofiar w ludziach nie było. Odetchnąłem. Wkrótce dowiedziałem się, co wydarzyło się Poczajowie.

Żywiotowa ukraińska manifestacja sparaliżowała z miejsca akcję Dionizego. Na dzwonnicy poczajowskiej pojawił się *blakytno-żowtyj prapor*, w tłumie ukazały się ukraińskie transparenty z hasłami o ukraińskiej Cerkwi, o Polsce, o Ukrainie. Hulały ukraińskie okrzyki, panowały ukraińskie pieśni.

Dionizy przegrał. Triumfował Skrypnik i reprezentacja ukraińska sejmu i senatu.

Ledwo żywego Metropolitę wyprowadzili biskupi poprzez manifestujący tłum do metropolitalnego domu. Do domu udała się delegacja posłów i senatorów, by na ręce Metropolity złożyć oświadczenie w sprawach cerkwi. Metropolita przebywał w stanie zupełnego załamania i wystąpił na rozmowę z delegacją poselską biskupa krzemienieckiego Aleksego<sup>7</sup>.

Po wręczeniu oświadczenia grupy parlamentarnej uroczystość poczajowska się zakończyła.

Po Poczajowie Metropolita bez zastrzeżeń przystąpił do dalszej pracy z delegacją rządową.

Chodziło o ukraińskie akcenty w prawosławnych instytucjach. W Łucku zastałem Łuckie Prawosławne Bractwo Podniesienia św. Krzyża. O ile sobie przypominam, powstało ono za czasów

---

<sup>4</sup> Dionizy (1876–1960), od 1923 metropolita warszawski i całej Polski, podejmował starania o zatwierdzenie przez instancje cerkiewne autokefalii polskiej Cerkwi.

<sup>5</sup> Hermogen (1861–1945), arcybiskup Cerkwi za Granicą i Chorwackiej Cerkwi Prawosławnej. Zginął z rąk partyzantów chorwackich.

<sup>6</sup> Stepan Skrypnik (1898–1993), poseł w sejmie RP, duchowny, od 1949 metropolita Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej w USA, od 1990 – patriarcha kijowski i ukraiński.

<sup>7</sup> Aleksej (1882–1943), arcybiskup wołyński i krzemieniecki. Zginął z rąk partyzantów ukraińskich.

Jana Kazimierza. Kiedy Rosja załapa Wołyń, ukraińskie bractwo przemieniono na ortodoksyjnie rosyjskie. Ostatnio była to instytucja rosyjskiej Czarnej Sotni<sup>8</sup> pod opieką Począjowa i »Począjowskiego Listka«<sup>9</sup>. Bractwo było bogate. Na mocy królewskiego nadania było właścicielem dwóch trzecich Łucka. Kiedy zjawiłem się Łucku, zdałem sobie sprawę, że bractwo to dobry interes dla ludności łuckiej żydowskiej i hierarchii prawosławnej. Miejscowi działacze bractwa – Rosjanie – nie mieli także na co się uskarżać.

Bitwa z Metropolitą Dionizym o bractwo trwała szereg miesięcy, obfitowała w dekoracyjne i wstrząsające momenty. Były poruszone wysokie czynniki państwowe. Miałem kłopoty z prokuraturą. Wreszcie Dionizy się poddał. Sprawa została wygrana. Bractwo Podniesienia św. Krzyża stało się bractwem ukraińskim, tak jak za Jana Kazimierza. Ukraińcy uzyskali cerkiew przy reprezentacyjnej ulicy Łucka. O ile się orientuję, była to pierwsza prawosławna ukraińska cerkiew w Polsce. Proboszczem został ksiądz Paweł Paszczewski<sup>10</sup> – kiedyś *Protopresbiter Ukraińskiej Armii*. Była to postać wspaniała, pełna uroku, wyrazu, ogólnie szanowana i znana. Otec Pawło nosił się z ukraińska, był petlurowcem. Gdy zjawił się w moim gabinecie, miałem wrażenie, że przychodziło Zaporozie. (...) A z czasem powstało ukraińskie Towarzystwo imienia Petra Mohyły, skupiające wokół siebie wiele wartościowych jednostek z ukraińskiego społeczeństwa. Wreszcie udało się zainstalować w Łucku, stolicy Wołynia, pierwszego biskupa Ukraińca, Polikarpa (ks. Sikorskiego)<sup>11</sup>. Były to pierwsze kroki na drodze do »odrosyjszczenia« polskiej prawosławnej cerkwi. (...)

Nie mogę nie wspomnieć o epizodzie jedynym w swoim rodzaju, mówiącym o pasji, jaka ogarnęła biskupa Szelążka na widok urzędującego w Łucku biskupa.

W rozmowach ze mną, gdy dochodziło do biskupa Polikarpa, biskup Szelążek nie wymieniał słowa – biskup. Mówił »episkop«. Podczas jednego z uroczystych zebrań w jednym z prywatnych apartamentów wojewody, na których były obecne wszystkie najwyższe urzędowe figury – postowie, senatorowie, dygnitarze – biskupa Polikarpa spotkano z całą atencją i kurtuazją biskupowi przynależną. Po pewnym czasie wchodzi do salonu biskup Szelążek. I oto stało się coś, co zbulwersowało wszystkie znajdujące się w salonie figury, nawet usposobione endecko. Biskup Szelążek, witając się ze wszystkimi, ostentacyjnie nie przywitał się z biskupem Polikarpem, zignorował jego obecność. Wszyscy byli oburzeni. Biskup Polikarp, w tym »pojedyńku biskupim« wygrał na całej linii. Sympatia obecnych skupiła się na nim, a on demonstrował pokorę chrześcijańską i miał oblicze prawie świętego. (...)

Główną pozycją wołyńskiej polszczyzny była polska ludność miejscowa – świat polski zasiedziały, w Wołyń wrośnięty, obyczajowo z Wołyniem zespolony.

Kiedy Wołyń ponownie znalazł się w granicach Polski, społeczeństwo polskie na Wołyniu miało swą tradycyjną strukturę. Nie sposób nie zacząć od ziemiaństwa. Wnosiło ono znany powszechnie akcent »kresowej obyczajowości«, swoistą kulturę osobistą, domową. Polskie dwory ziemiańskie na kresach »robiły dobre wrażenie«. Do tego w większości wypadków się sprowadzało. Gospodarowano lepiej lub gorzej, raczej gorzej niż lepiej. Z miejscową ludnością stosunki były na ogół dobre,

<sup>8</sup> Szowinistyczny ruch polityczny w Rosji, rozwijał się od początku XX wieku.

<sup>9</sup> Czasopismo religijne wydawane w Począjowie (1909–1916).

<sup>10</sup> Paweł Paszczewski, Naczelny Kapelan Armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, dowodzonej przez Symona Petlurę.

<sup>11</sup> Polikarp (1875–1953), biskup łucki od 1932 roku. W 1944 wyemigrował, zmarł w Paryżu.

tak jak dobre być mogą między dworem a wsią. Czasem zabłysnął akcent prawdziwego patriotyzmu, w szarzyźnie patriotyzmu konwencjonalnego, czasem wyrzała inteligencja albo pojawiła się działalność polityczna, społeczna i jakaś inna jeszcze. Na ogół nie angażowano się. Panowała zdawkowa dobroć, zdawkowa uprzejmość i w wielu razach tzw. »wykwintne wychowanie«. I tak toczyły się dni. Były także wybuchy temperamentu, wybuchy szczerości, różne pasje, np. pasja do koni, polowania i inne jeszcze. Nad wszystkim jaśniał firmament „bogoojczyźniany”, nastroje i natchnienia wyraźnie endeckie.

Z bardzo małymi wyjątkami ziemiaństwo było poza nurtem tworzącej się nowej wołyńskiej rzeczywistości, nie brało udziału w pracach społecznych i politycznych, samorządowych. (...)

○ ziemiaństwie można by snuć wspomnienia anegdotyczne. Pewnego razu rozmawialiśmy z gen. Rydzem-Śmigłym, inspektorem armii na Wołyń. Śmigły był wówczas moim bliskim przyjacielem i mogliśmy rozmawiać prosto i szczerze. Śmigły zjawił się u mnie po zakończeniu gry wojennej. Chciał się ze mną zobaczyć przed wyjazdem do Warszawy. Powiedział, że ma do mnie pewną sprawę. Zaczął mówić o tym, jak zamieszkał w czasie gry wojennej w znanym na Wołyniu ziemiańskim domu, jak domem był tym oczarowany, a zwłaszcza królującą w nim dostojną matroną – siwą staruszką. Opowiadała ona Śmigłemu o powstaniu 63 roku, pokazywała pamiątki, zwierzała się. W tym miejscu Śmigłemu przerwałem. Powiedziałem: »generale, jak dostojny, żydowski, osiwiaty rabin zaczyna mówić o powstaniu 63 roku, wiem, że chodzi o koncesję tytoniową. Jak polski ziemianin mówi o 63 roku, chodzi o prawo wyrębu lasu. A teraz słucham«. Śmigły pospieszył zakomunikować, że nie ma już nic do powiedzenia. (...)

Kołki. Odcięte od ludzi i świata. Żydowskie domki po obu stronach wiodącej przez Kołki drogi. Przed każdym domkiem stał niewysoki słupek, a na nim latarnia, czasem z lampką naftową, czasem ze świeczką. W dniach zwłaszcza odświętnych, gdy zapadał mrok, latarnie się zapalały. Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Nastrój »przykucniętego« życia, posiadającego własne zwyczaje.

W sąsiedztwie Kołek płynął Styr, większy i szerszy niż pod Łuckiem. Okolice zamieszkiwała »dzwina publiczność«. Byli to Rosjanie, dawni dygnitarze carscy, którzy jakimś dziwnym zrządzeniem losu zadomowili się w okolicy Kołek, w zaciszu niemej prowincji, z dala od ludzkich oczu. Bytowanie ich było nad wyraz skromne. Nic nie pozostało z dawnych splendorów. Pozostał tylko protokół towarzyski, pozostały tytuły. Słyszało się: *wasze priewoschoditelstwo*, *wasze sijatielstwo*, byli *tajnyje sowietniki* i *diejstwitielnyje sowietniki*<sup>12</sup>. Towarzystwo było w starszym wieku, ubrane po staroświecku, w znoszone ubrania. (...)

Nie sposób także w ogólnym obrachunku kresowej rzeczywistości przejść do porządku dziennego nad akcją stronnictw politycznych, która w sposób sobie właściwy ciążyła na układzie rzeczy. Jeżeli chodzi o Wołyń, może być jedynie mowa o Stronnictwie Narodowym i endeckiej mentalności. Stronnictw lewicowych na Wołyniu nie zauważono.

Mentalność endecka popierana powszechnie przez kler była w kształtowaniu się polskiej postawy, na ziemiach wschodnich wrogiem numer pierwszy. Walka z nią nie była łatwa. Endeckość zdołała usadowić się wszędzie, w różnych szczelinach życia i przy każdej sposobności szczyrzyła zęby.

---

<sup>12</sup> (ros.) Tytuły: ekscelencjo, jaśnie panie, tajni radcy i rzeczywisci radcy.

Mentalność ta, jak w swoim miejscu wspominałem, jest polską postawą niszczącą to, co w Polsce jest ogólnoludzkie. Jeżeli wyobrazimy sobie taką właśnie polską postawę w środowisku mieszanym, w danym razie polsko-ukraińskim, ogarnia nas przerażenie. Obserwowałem ją także w postaci antysemityzmu. (...)

W powiecie łuckim, w pobliżu granicy wschodniej leży wieś Żabcze. Wieś ta stała się sławna. Była to wieś mieszana, polsko-ukraińska. Kościół katolicki został swego czasu zamieniony przez władzę carską na cerkiew. Kiedy nastąpiła Polska, cerkiew stała się kościołem niezgody pomiędzy ludnością polską a prawosławną. Polacy dążyli do rewindykacji kościoła, prawosławni cerkwi bronili. Wrzenie narastało. Doszło do tego, że ludność katolicka, przemocą wdzierając się do cerkwi, zajmowała ją, odbywały się nabożeństwa. Przy pierwszej jednak sposobności prawosławni zajmowali cerkiew znowu i bronili jej. Był to stan przybierający na sile walki religijnej. Sceny stawały się coraz bardziej drastyczne. Żabcze mogło się stać w każdej chwili areną pożatowania godnych wypadków, rzucających cień na dobre imię Polski i budzących echa oburzenia na świecie.

Była zima. Parę dni bawiłem w sprawach służbowych w Warszawie. Dyrektor departamentu w MWRiOP<sup>15</sup>, Franciszek Potocki, zaalarmował mnie, że w Żabczu wybuchły zamieszki i stan jest groźny. Od paru dni tłum prawosławnych zajął cerkiew siłą, złamał kłódki zawieszane przez Polaków, zamknął się w cerkwi jak w fortecy. Ksiądz prawosławny, Zahajdakowski, zaprzysiął wiernych, by cerkwi bronili i dali swe życie w ofierze za wiarę prawosławną. Odbywały się nieustające modły. Tłum opanowała ekstaza. Tak szły dni.

Wezwano wojsko i policję. Otoczono cerkiew jak fortecę. Przerwano łączność zgromadzonych ludzi ze światem. Próby wejścia do cerkwi spełzły na niczym. Cerkiew się broniła. Ilekroć policja usiłowała otworzyć drzwi, ręce policjantów krwawiły od uderzeń żelaznych tomów.

Bez użycia broni usunięcie tłumu z cerkwi było niemożliwe. Oblegający czekali na rozkaz natarcia.

Udałem się do Metropolity Dionizego. Przedstawiłem sprawę, o której już był zresztą dokładnie poinformowany. Prosiłem, by wysłał swojego pełnomocnika – księdza, który uwolniłby zebranych w cerkwi od złożonych na ręce od księdza Zahajdakowskiego przysięgi trwania w opozycji i poniesienia śmierci męczeńskiej. Metropolita rozmawiał ze mną niechętnie i wręcz odmówił interwencji. Zarysowała się perspektywa aktu męczeństwa cerkwi prawosławnej w państwie polskim.

Wyjechałem do Łucka. Pociąg warszawski przychodził wczesnym rankiem. O ósmej byłem już w swoim gabinecie w urzędzie wojewódzkim. Złożono mi sprawozdanie. Czekano na moją decyzję. Jeszcze z Warszawy zażądałem usunięcia wojska. Policja trwała na posterunku wokół cerkwi.

Tłum wewnątrz cerkwi stanowili ludzie starsi, mężczyźni, kobiety i dzieci. Był siódmy dzień oblężenia. Zamknięci w cerkwi ludzie pozbawieni byli jedzenia i wody. Panował mróz. Ludzie zlizywali szron z okien. Nie chcieli pertraktować i nie wpuszczali nikogo. Myślałem: „może są już trupy, chory, są na pewno wyczerpani doszczętnie, gonią resztkami sił”.

Groza sytuacji rosła z godziny na godzinę. Była to chwila jedna z najtrudniejszych w moim urzędowaniu. Ja odpowiadałem za wszystko. Do mnie należała inicjatywa. Czekano na moją decyzję. Przez pewien czas męczyłem się sam ze sobą.

<sup>15</sup> Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Doradcy moi podsuwali myśl użycia bardziej zdecydowanych środków dla złamania oporu czającego się w zamarłej cerkwi. Należało użyć broni. Ilość ofiar byłaby mniejsza w porównaniu ze zwalami zamarzniętych w cerkwi trupów.

Wreszcie w rozmowie z samym sobą decyzja zapadła. Polecilem odwołać policję i pozostawić cerkiew samą. Policja odeszła na tyle daleko, że stała się niewidoczna dla ludzi zamkniętych w cerkwi. Wezwałem starostę łuckiego i powiatowego lekarza. Polecilem zmobilizować lokomotywę jako jedyny środek szybkiej komunikacji z Żabcza. Drogi zawiął śnieg. Starosta i lekarz mieli się udać do cerkwi, tzn. dojść do drzwi cerkiewnych i oświadczyć, że przyjechali z pomocą dla przebywających w cerkwi ludzi. Chodziło o jedzenie i wodę. Chodziło o pomoc lekarską. Zgodnie z opinią doktora w sytuacji, jaka powstała, należało dostarczyć w pierwszym rzędzie wody mieszanej z odrobiną wina, potem rosołu z kury. Słowem, zdecydowałem się nieść pomoc zebrany w cerkwi, nie licząc się z czasem. Niech siedzą, jedzą i piją. Niech nie stawiają żadnych warunków, niech robią, co chcą.

Ludzie z cerkwi, po przekonaniu się, że mają do czynienia tylko z dwiema osobami i że chodzi jedynie o pomoc lekarską, żywność i wodę, wpuścili moich »posłów« niosących wiadra z wodą. To, co ujrzeli, było makabryczne. Dzieci i kobiety przeważnie leżały na podłodze, leżeli także ci, którym trudno było podnosić się. Przed ołtarzem, tzn. przed »carskimi wrotami«, stał ksiądz prawosławny Zahajdakowski z krzyżem w ręku, a koło niego parę postaci. Panowała cisza pełna oczekiwania. Kiedy »posłowie« stanęli przed ołtarzem, doktor zapytał, czy są chorzy, i zapowiedział, że zostanie udzielona pomoc medyczna, zapowiedział także, że zacznie rozdawać wodę z winem. Wyciągnęły się ręce, pojawiły się kubki. Doktor nalewał, ludzie pili. W pewnym momencie rozległ się głos: »nie wypijcie wszystkiego, niech i nam zostanie«. I to właśnie przerwało panujące napięcie, zaczęto mówić, pojawiły się słowa zwyczajne, ludzkie – stali się zwykłymi ludźmi. Większość ruszyła do wsi, do domu. Doktor zarządził gotowanie rosołu, zaopiekował się chorymi. Zaczęły się normalne czynności. (...)

Pożegnanie z Wołyniem nie było rozstaniem z Wołyniem, a jeszcze większym z nim zespoleniem. To, co działo się na Wołyniu za czasów mego urzędowania, jest we mnie i stanowi o tym, czym jestem dzisiaj. Rzecz cała polega na tym, jak to się objawia w dzisiejszej wołyńskiej rzeczywistości, w świecie wołyńskich wysiedleńców, w Kazachstanie, w bezkresach Syberii. Nie wiem, jak jest z gromadką Wołyńiaków wygnanych przez dziejową lawinę na Zachód.

Nie mogę nie powiedzieć o tym, co obserwuję w Polsce. Nie mówię o garstce przyjaciół, z którymi łączą mnie czasy wołyńskie – mam na myśli postaci mi nieznane, wyłaniające się na ulicach Warszawy, w innych miastach i miejscowościach polskich. Postać taka, niezauważana przeze mnie w tłumie przechodniów, podchodzi i mówi: »pan mnie nie poznaje...«. Po zamienieniu paru słów wychodzi na jaw, że łączy nas Wołyń. Padają słowa: »były to najlepsze lata w moim życiu«. Uścisk ręki i wiem, kto ze mną rozmawiał. I dla mnie były to najlepsze lata.



Uljana Kuzniecowa, *Kosmonauci i Lenin*